

# NIEFRASOBLIWIE

Tak właśnie, niefrasobliwie, spędzaliśmy święta przed telewizorami. Nie bardzo było na czym myśl zahaczyć; ani popłakać nie szło, ani zbyt serdecznie się pośmiać. Ot, szedł sobie ze szczytu Pałacu Kultury program nieobowiązkujący, którego obejrzenie, czy też nieobejrzenie — było dla telewidza raczej obojętne.

Domnowały hokejowe mistrzostwa świata z Wiednia. Niegdyś mi się wydawało, że hokej to sport nader telewizyjny, ale zmieniłem zdanie po wiedeńskich transmisjach. Krążka prawie nie było widać, gubił się człowiek w szybkich akcjach, z trudem na powtórzeniach chwytając moment zdobycia bramki. Może to hokeiści zaczęli grać w takim tempie?

Po namyśle zmieniłem zdanie jeszcze raz. To nie hokeiści — a już na pewno nie polscy — wzmocnili tempo. To kamerzyści austriaccy tempa nie wytrzymali, spóźniali się z ujęciami, tracili krążek, w nieodpowiednich momentach stosowali zbliżenia. Ba, gdybyż to robili polscy operatorzy, naprawdę wyborni w transmisjach sportowych!

A nasi komentatorzy? Cóż, normalnie. Znają się na hokeju, ale ciągle walczą z trudnościami pięknego, polskiego języka, nie wyczuwając różnicy między jedną dziesiątą sekundy, a jedną dziesiątką sekund, że wymienię najsubtelniejsze tylko ich wątpliwości. Więcej ani słowa. Nad sprawozdawcami telewizyjnymi, ze szczególnym uwzględnieniem Jana Ciszewskiego, pastwią się już osobliwie systematycznie „Szpilki”, których recenzji czytanie gorąco zalecam moim Czytelnikom.

Jako uzupełnienie lektury.

Bardzo się szykowałem na Eichlerówną i — spotkał mnie zawód. Nie ze strony aktorki, czy reżysera, lecz raczej tekstu. Trudno mi oceniać, czy sztuka Smuula jest dobra czy zła, ale mogę stwierdzić, że nie pasowała do świątecznego, niedzielnego programu w porze gdy zasiada przed aparaturami najliczniejsza widownia. Jedno co podziwiałem u znakomitej aktorki, to zdumiewające wyczucie telewizji.

Wyczucie instynktowne, gdyż telewizja dla Eichlerówny nielaskawa i nie daje jej zbyt często szans, by mogła nas zdumiewać.

Poza tym — rozrywka. Niefrasobliwa, czasem aż do przesady. Na przykład Beata Artemska, którą skądinąd nadzwyczajnie lubimy i poważamy — uraczyła nas widowiskiem muzyczno-baletowym osobliwie niedobrym pod każdym, poza Beatą Artemską, względem. Od tego typu rozrywki nie wymaga się zbyt wiele, ale przecież czegoś się wymaga.

Wrocławska „Zbrodnia przy ulicy Lourcine” też zawiodła. Fakt, że Labiche tworzył farsy — bynajmniej nie zmusza reżysera do wduśnięcia pedału do końca, co wbrew pozorom przytłumia wiele farsowych wdzięków. Proponuję studia nad wystawianiem fars u nieźrównanego u nas pod tym względem Dziewońskiego.

Jedyna właściwie rozrywka — peretka, to „Deszczowa Suita” Jeremiego Przybory. Niby nic, niby przypomnienie starych piosenek — powiązanych jedynie na nowo — a odejść od ekranu nie można było, choć gęś palła się w bratruze. Samo dobre! Dlatego też powstrzymam się od porównywania „Deszczowej Suity” z „Wieczorem ze Szpakiem”.

Nie można robić przykrości Wiktorczykowi — to taki zasłużony rozśmieszacz...

W święta pokazano nam dwa nowe polskie filmy telewizyjne: „To jest twój nowy syn”, oraz pierwszy odcinek „Klubu profesora Tutki”. Trzeba by o tym, szczególnie, że spotkał mnie Grzegorz Lasota i wymyślał — ciekawe, dlaczego Lasota zawsze mi wymyśla, choć ja jemu prawie nigdy — że tyle piszę bredni, a o polskich filmach telewizyjnych piszę tych bredni tak niewiele.

Najgorsze, że miał rację. Rzeczywiście, trzeba będzie, ale to już innym razem.